

ZIARNO



Rys. J. Matejko.

CHRYSTUS NA MAJESTACIE.

ALLELUJA!

Zabrzmiały radosne dzwony i potęgą swego spiżu wypełniły niebiosa i ziemię. Wstał Chrystus ukrzyżowany, zwiastun wszystko przebaczącej i wszechogarniającej miłości, aby obwieścić zwycięstwo światła nad ciemnościami, radość dobrego czynu nad przewrotnością złych instynktów. Wstał, aby dać świadectwo prawdzie, że do wielkiego celu droga wiedzie przez ciernie, cierpienie, krew i łzy, a jutrzienka wolności ducha zabłysnąć może tylko tym, którzy prze mogli więzy i niewolę ciała.

Brzmia w okrag radosne, swiateczne dzwony. A na tony ich budza sie swieze wonne zioła i kwiaty, wiosnki serdeczne wiosny, które unoszą swe żdźbła i i główki z letargu zimowego. Dźwięki serdeczne wypełniły lasy, pola, niziny i góry; pieśń cicha i radosna ulata z ziemi ku niebiosom, wypełnia przestrzenie i budzi wszędy nowe, młode życie.

Nad szarą glebą Polski zanucił skowronek, śpiewak Boży, pierwszy hymn zmartwychwstania; wtórują mu w drzewach, zaroślach i opłotkach skrzydlacy bracia i siostry. W górze ciągną klucze żorawi i dzikich gęsi, a w wezbranej fali rzek i jezior naszych pluszcze wesoło rybka i kapie swe srebrne łuski. Leszczyna strząsa pył złoty na murawę; nieśmiało rozchylają swe paki bzy i kasztany, w promieniach wiosennego słońca suszy swe skrzydła pszczoła i pierwszych lotów próbują drobne muszki.

Wszędy budzi się życie i radość bytu. Rolnik wygląda w pole i bacznie ocenia oziminy; ogrodnik przegląda sady i pielęgnuje wczesne jarzyny, a skoro dobroczynne słońce wypije nadmierną wilgoć z gleby, wnet ruszą pługi w pole, by spulchnić je pod wiosenne zasiewy.

Nad ziemią polską uroczą wiosna zatknęła ga-

łązkę zieloną. Przypruszą ją śniegi, ochłodzą szrony zatarga wiatr w liściach i posmaga deszcz pierwsze pędy — lecz nikt nie wątpi, że w końcu zwycięży dobra wróżka i wieńcem kwiatów i ziół wonnych otoczy siedziby ludzkie.

Oto niesie na dłoni dziecię rumiane symbol wiosny, jajko święcone. Zdobia je znaki i pisanki, zabytki dawne obchodu wiosny, kiedy młodzież słowiańska splatała koła i nuciła pieśni na cześć odrodzonej ziemi. Zwyczaj ten w imię zmartwychwstałego Chrystusa stał się dzisiaj w Polsce łącznikiem dawnych wierzeń i obchodów z świętem Wielkanocnym, a radosny hymn wiosny spływa się w harmonji odwiecznej z pieniem kościelnym: Alleluja, Alleluja — niechaj brzmi Alleluja!

Idzie on wszędy i wzdłuż naszej ziemi, wkrada się do chaty skromnej i do dworu wiejskiego i do mieszkań zamożnych. Czy znajduje także oddźwięk w sercach naszych?

Zdawaćby się mogło, że nad światem polskim na wieczne czasy zapanowała mroźna zima. Jest w nim życie, które rwie się do pracy i czynu; jest wola, która chce zwalczać przeszkody, łamać zapory i torować narodowi drogę, ubraną zielenią nadziei, ku lepszej, radośniejszej przyszłości. Lecz nie ma w sercach naszych otuchy, wiary, odwagi, nie ma rozpędu śmiałego przyrody, co nie lęka się przy mrozków i szarugi, lecz z ufnością wysyła na świat swe pierwociny. Jakby wieczny smutek osiadł nasze

dusze, których ból głuszymy zgiełkiem hałaśliwym i bezcelową wrzawą. Nie ma przedewszystkiem wewnętrznej mocy, która działa, trwa i ufa.

Oblicze naszego kraju przyoblekło zimne, smutne niebo roztopów. Oczy błądzą po krańcach świata, gdzie rozproszone walczą o byt dzieci Polski. Jedno

MARJA KONOPNICKA.

O! Zmartwychwstanie...

✱

O! zmartwychwstanie wszystkiemu, co mękę Śmierci przybyło i grobu ciemnicę!
Oto już słyhać słowiczą piosenkę,
Oto się letnie palą błyskawice,
Oto z błękitów zlatują nam blaski
Dnia majowego, przebudzeń i łaski,
I słyhać w ciszy jęczące otchłanie —
I grzmot wiosenny słyhać...

Zmartwychwstanie!

O! zmartwychwstanie tym ziarnom, co w roli
Przebyły zimę wiekowej niedoli!
O! zmartwychwstanie posiewom tym ducha,
Które więziła noc ślepa i głucha...
Wam, czarne lasy, i wam, mokre łąki,
I zioła polne, i szare skowronki,
I wam, zagony leżące odłogiem,
I tobie, gruszo, stojąca przed progiem,
I wam, dąbrowy, i gaje i kwiaty,
I tobie, strzecho zczerniała tej chaty...
Pęka już wierzba, słyhać fletni granie
I szum lecących skrzydeł...

Zmartwychwstanie!

O! zmartwychwstanie wszystkiemu, co mdleje,
Co traci ducha, i moc, i nadzieję...
O! zmartwychwstanie Łazarzom i Hiobom,
Pękniętym sercom, zapomnianym grobom,
Światłom gasnącym w ucisku stuleci,
Gwieździe, co spadła — i w błocie gdzieś świeci...
Temu, co dobre, i wielkie, i piękne,
I, co ku wzlotom najwyższym napięte,
Przecież, zdeptane jest — i jest wyklęte...
...Pójdę! w zieleni pól naszych uklękne,
I z lasów szumem w pieśniach się uniosę,
I ziemi mojej dam łez moich rosę...

stka porywa się chwilami do pracy, biorąc na swoje barki zadanie po nad siły; ogół patrzy na wysiłki te obojętnie, wzdryga ramionami i wlecze się dalej po rozbieżnych drogach. A zewsząd zalewają nas wrogie żywioły, szkodliwe siły. Oto chciałoby się wyciągnąć ręce w górę i spleść je ponad potęgami tych przeciwnieństw w jeden nierozzerwalny węzeł duchowy. Chciałoby się znaleźć, mieć i kochać jedne wartości. Lecz prądy sprzeczne rwą naród w kawały i niosą go w przeciwne strony.

Czy można powiedzieć, że my, polacy, liczący przeszło 20 milionów dusz, mamy jeden program, jedne dążenia, jedne cele? Tak jak je ma Chrystus, uszczęśliwiający świat cały, jak je objawia wiosna w przyrodzie, okrywająca runią nadziei ziemię, budząca z letargu siły w niej zaklęte?

Czy objawiła nam się już, niby czarodziejska moc, która wskrzesza umarłe, szczerą, gorącą miłość ojczyzny, nam wszystkim pod skrzydłami Polski zgromadzonym. tak jak ją rozumiały i czuły najlepsze jednostki w narodzie?

Miejsce jednostek zajęły już grupy, słabsze potęgą objawienia czynu, niż duchy naszych wodzów nieśmiertelnych na polach chwały. w głębinach myśli i na wyżynach uczucia. Lecz grupy te usiłują przynajmniej zrozumieć swój cel życiowy i wykonać go według możliwości jaknajlepiej. Brak tylko, aby wypełniły się przerwy pomiędzy tymi zastępami gęstą ławą ludu, aby było to jedno morze, falujące jednym ruchem, jedną wspólną myślą.

Światło, którego brak masom polskim do spełnienia swego przyrodzonego zadania, zwie się oświatą narodową. Ruszają się już odłamy narodu na przestrzeni od Karpat do Bałtyku; budzą się nowe hasła, niby brzemienne kwieciami pąkowie liści; odzywają się, niby podmuchy wiosny, hasła wołające o światło nauki i kultury.

Nie dostaje im jeszcze zgodnego akordu, tej wiel-

kiej harmonji ducha, tej potężnej i koniecznej jedności i wspólności.

A przecież i nam narodził się, dla nas cierpiął i nam na otuchę zmartwychwstał Chrystus.

Lux lucet in tenebris!

Światło błyszczy w ciemnościach — światło wiary, miłości i nadziei, światło odkupienia narodu w wspólnym trudzie, w jednym wysiłku.

Na ziemiach polskich odbywa się nowy przegląd sił, nowe badanie zadań i wartości naszych. Na plan pierwszy wysuwa się myśl podniesienia oświaty i kultury ludu, a więc ogółu całego, maluczkich i nieznanych, aby i im otworzyło się tajemne światło nauki i wiedzy narodowej. Myśli nie zestrzeły się jeszcze w jedno ognisko, ci, którym ma zabłysnąć słup ognisty kultury, nie znają jeszcze jego siły i wartości. A bez ich własnego przyczynku, bez ochoczego, radosnego przywitania promiennego zwiastuna, dzieło nie może być dokonane.

Wartość i żywotność narodu polega na tem, że odkrywa on ciągle nowe wartości i zadania żywotne, które od chwili ich poznania stają się jego dążeniem niezaspokojonym, dopóki ich nie posiadzie i — nie znajdzie nowych zadań.

Dzisiejsze światło wiosny, wielka uroczystość świata chrześcijańskiego, świta nam pod znakiem powszechnego nauczania. Jest więc świętem kultury. Jak powszechną jest wiosna w przyrodzie, tak ogólnym świętem narodowym stać się winno przyjęcie oświaty pod strzechy polskie. Z radosną pieśnią ducha nieść ją winni nauczyciele narodu; weselnem pieniem winni ją przyjąć mieszkańcy wsi i miasta — aby godzina odrodzenia w duchu, prawdzie i czynie stała się powszechną dla narodu całego.

A wtedy prawdziwie z martwych powstanie między nami Chrystus i szczerą będzie, potężny i harmonijny hymn, witający święto kultury, święto odrodzenia:

Alleluja!

Tadeusz Jaworski.

Czytelnikom i przyjaciółom naszym przesyłamy z powodu uroczystych Świąt Wielkanocnych szczerą i serdeczną: Alleluja!

ŚCINACZE GŁÓW.

Największą z wysp archipelagu wschodnio indyjskiego jest Borneo. Klimat jej podzwrotnikowy nie zwykle bogaty jest w deszcze, co przy upałach tropikalnych pociąga za sobą bajeczny wprost rozrost roślinności. Nieprzeniknione lasy palmowe są zaludnione przez liczne gatunki małp, nosorożce, słonie indyjskie, latające wiewiórki, jelenie w kilku od-

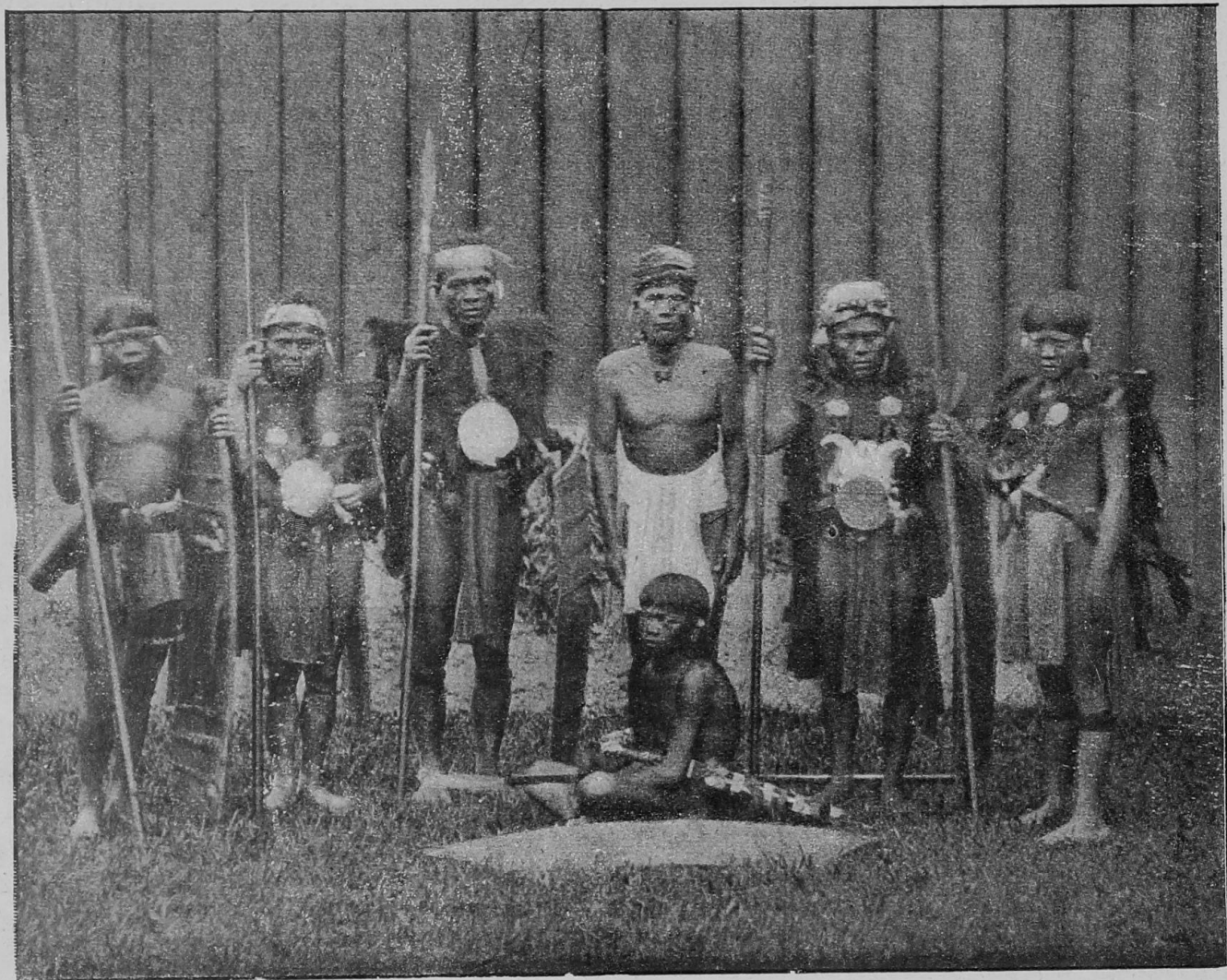
mianach, bogato upierzone ptaki, rozmaite płazy i krokodyle, barwnie lśniąco owady i moskity.

Wyspę Borneo zamieszkuje szczerp rasy malajskiej, zwany dajakami, znanymi także pod nazwą ścinaczy głów. Lud to wysmukły, silnie zbudowany i wytrzymały, z charakteru szczerzy i prosty, z usposobienia okrutny i mściwy. Wyspę zamieszkuje około półtora miliona tych dajaków o cerze brunatnej, czarnych oczach i gładkich włosach. Rozpadają się na kilkanaście grup, które najłatwiej rozróżnić po odmiennym sposobie budowania mieszkań. Raz tworzą osadę pojedyncze, okrągłe chaty z kilkoma wyższymi budynkami dla niezonatych, sprawowania narad i sądów, raz znów składa się wieś cała z jednego, długiego szalasu, zbudowanego na palach, 6 metrów wysokich, do którego wchodzi się po nacina-

nych pniach. Szalas mieści w sobie 50 — 100 przedziałów, zamieszkałych przez tyleż rodzin.

Ubiór mężczyzn składa się z przepaski, splecionej z łyka drzewnego, kobiety noszą spódniczki z własnoręcznej tkaniny, podtrzymywane w pasie przez wąski, kolorowy pas — rotan — którym owijają się 20—40 razy. Różnicę grup tego szczepu poznać też można po ozdobach głowy i uzbrojeniu. Niektórzy dajakowie używają wydrążonej rury (sipet), którą wydmuchują zatrute strzały, innych broń główną tworzy miecz o rozmaitych kształtach, bardzo mocny i ostry, z rękojeścią kościaną, zdobny

Dajakowie są czcicielami złych duchów i wierzą w rozmaite wróżby. Badają zwłaszcza lot ptaków, oddając im rozstrzygnięcie ważnych swych przedsięwzięć. Nie gardzą też sztukami czarnoksiężników, noszą liczne amulety i czczą święte naczynia, które bajeczny ich król „Mađjapait“ wykonał rzekomo z tego samego materiału, z jakiego składa się słońce. Wróżbici są zarazem lekarzami; ważne zadanie przeprowadzenia dusz do krainy słońca przypada w udziale kapłankom i śpiewaczkom. Wreszcie otaczają dajakowie szczegółowym kultem góry, na których przemieszkują czczone przez nich duchy.



Dajakowie w ubiorach wojennych.

pękiem włosów ludzkich. Dla obrony noszą tarcze i koszulki metalowe, przystrojone piórami bażanta.

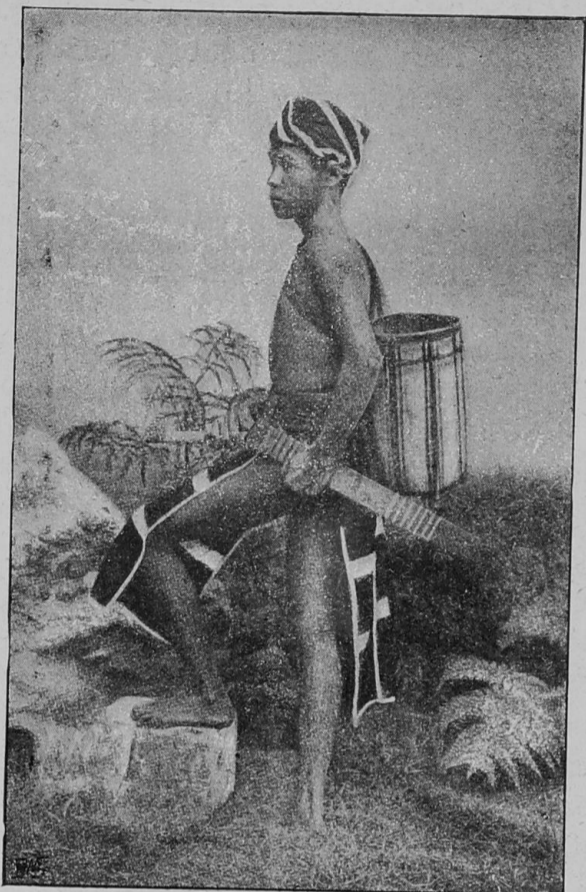
Najważniejszą rolę w życiu dajaków odgrywają ich wojny, albo raczej polowania na głowy ludzkie. Wierzą bowiem, że zabierając głowę zabitego wroga, zmuszają jego duszę, aby była duchem opiekuńczym dajaka za życia, a niewolnicą po śmierci. Oczywiście pociąga za sobą wyprawa wojenna jednego szczepu zemstę drugiego i tym sposobem dajakowie znajdują się w ustawicznej walce między sobą, co sprowadza wyludnienie całych obszarów wyspy. Po zajęciu wyspy przez anglików, wyteżyli europejczycy wszystkie siły, aby wstrzymać te krwawe morderstwa; po części udało się to na zachodzie i wybrzeżu wyspy lecz „ajan“, wojna o głowy, trwa nadal w wnętrzu dzikiej krainy.

Najważniejszą uroczystością jest święto umarłych, przy którym konieczne są świeżo zdobyte głowy i ofiary w ludziach. Ich dusze mają towarzyszyć zmarłemu szczepowi jako sługi do raj. Zdarza się też często, że zamożny dajak zabija naprzód niewolników, jeńców wojennych lub dłużników, aby zapewnić swej duszy po śmierci okazały orszak poddanych.

W ostatnich czasach zaczęto badać takie duchowe życie dajaków. Pokazało się przytem, że mają oni swój rodzaj literatury, składającej się z podań, bajek, zagadek, dowcipnych porównań, przysłów i smętnych pieśni, świadczącej o wysokim poziomie umysłowości w stosunku do pierwotnego ich stanu dzikości.

Wreszcie zasługuje też na uwagę ich zmysł

artystyczny. Zdobnictwo w tkaninach, plecionkach, robotach z drzewa, bambusu, rogu, kości i metalu



Tragarz dajacki.

budzi niekiedy wprost podziw europejczyka swą rozmaitością i odrębnością stylu.

Bo nie wolno zapominać, że o kulturze europejskiej dajacy nie wiedzą, że wszystkie te ozdoby, narzędzia i broń, którą posługują się w życiu, wysnuli sami z siebie.

Ich język mało dotąd jest znany i naukowo zbadany. Jak u wszystkich szczepów ludzkich w pierwotnym stanie nie jest bogaty w wyrażenia i zwroty, posiada wszakże już pewne cechy oglady i zdradza wyższe dążenia, co ujawnia się szczególnie w melancholijnych pieśniach dajaków, tak mało zgodnych z ich krwiożerczymi wierzeniami.

Śmiały podróżnik francuski, który odważył się wejść w głąb kraju, aby badać zwyczaje dajaków, tak opisuje jedną z częstych ich zabaw, wykonywanych przy każdej obojętnej sposobności:

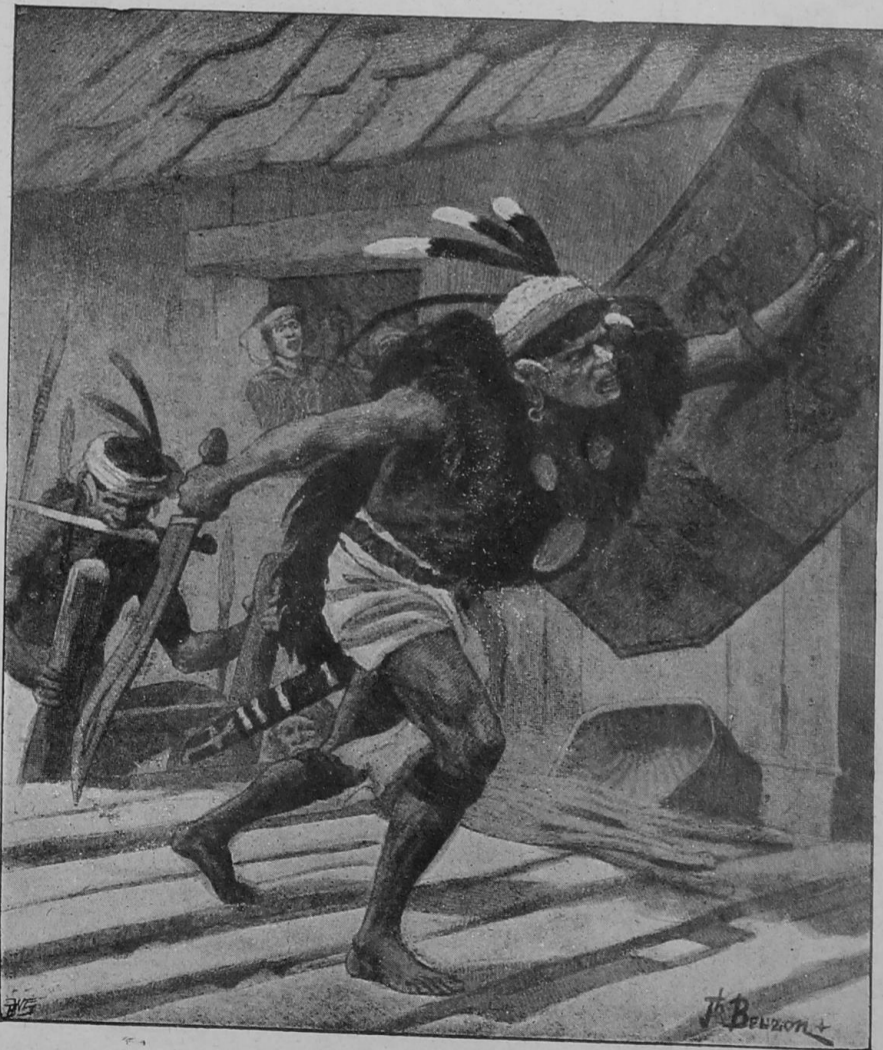
„Orkiestra dajacka składa się z dwojakiego rodzaju instrumentów: „kelintanów i tawaków“ t. j. trąb i bębnow. Kelintany mają kształt miedzianego rądła o bardzo niskich ściankach, wygiętych ukośnie ku środkowi instrumentu, gdzie też znajduje się wzdęcie w kształcie kuli. Są trojkiej wielkości. Najmniejsze są ustawione na prętach bambusowych i wydają pod uderzeniem pałeczki ostry dźwięk, przypominający cymbałki. Kelintany średnich rozmiarów są zawieszane na sznurach i są łącznikiem pomiędzy małymi a wielkimi kelintanami, z których ostatnie mają poważne brzmienie „gongów“ chińskich.

Tawaki są wyrabiane z powyrzynanych pni drzewnych, obciągniętych u góry i u dołu wygarbowaną skórą jelenia. Po trudnej do opisanie, a trwającej kilka minut kakafonji dźwięków, gorliwość orkiestry się zmniejsza i zaczynają grać w takt. Nagle tempo zwalnia i dźwięki łagodnieją; dwu młodzieńców wchodzi do prostokąta. Pas z kory, który stanowi cały ich kostjum, dobrze uwydatnia proporcjonalną budowę ciał, z wyjątkiem zbyt chudych ramion. Są to tancerze dajacy. Każdy z nich ma w rękę bambus. Skacząc w takt, dochodzą do środka prostokąta na wezwanie orkiestry, która gra z coraz większym ferworem.

Kiedy się wreszcie znaleźli oko w oko, zatrzymują się nagle, kręcąc się w kółko na jednej nodze, potem, przeskakując z jednej nogi na drugą, jakgdyby na matach były rozżarzone węgle, oddalają się, ażeby się znów spotkać.

Od czasu do czasu padają na kolana, podnoszą się w oka mgnieniu, poczem każdy z nich opisuje na nowo koło, zbliżając go do swego partnera; taniec urywkowy i giętki, a coraz szybszy. Tancerze zatrzymują się wyczerpani. Trzy młode dziewczyny w spódnicach malajskich, mocno związanych na piersiach, wchodzi do prostokąta. Trzy inne ukucnęły na ziemi i uderzając dłońmi miarowo w bębny, śpiewają dość czysto jakąś melodję przeciągłą. Jest to przegrywka do tańca towarzyszek.

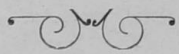
Orkiestra umilkła i z wdziękiem, jak przystoi najpiękniejszym leśnym gazelom, oczekują, aż towarzyski dadzą im znak do rozpoczęcia tańca. Ukło-



Napad na osadę dajacką.

niwszy się wdzięcznie, robią młynka wszystkie jednocześnie. Potem, zaledwie dotykając się ziemi, tańczą na matach, z tymi samymi giestami, co tancerze, tylko mniej szorstkimi i wdzięczniejszymi. Śpiewaczki zapewne improwizują, a śpiewają w języku czysto dajackim o wielkich osadach, gdzie biali sprzedają wszystko, co służy ku ozdobie kobiety i uwydatnieniu jej piękności. Śpiewy i tańce ustają jednocześnie pośród szmeru podziwu, który się rozchodzi wśród obecnych. Poczem orkiestra znowu się odzywa i po kilku minutach najokropniejszego hałasu, od którego ściany się trzęsą, nagle obniża djapazon. Dwu młodych dajaków toruje sobie drogę przez szeregi widzów, spoglądających na nich z podziwem. Są to synowie dwu naczelników, pierwszorzędni tancerze. Uzbrojeni w drewniane parangi, skaczą z zręcznością kotów i kłaniają się, poczem bez żadnego wstępu, podskakują szybko każdy osobno, nie zwracając przytem żadnej uwagi na swego partnera. Na znak, dany przez trąby, tancerze stają naraz naprzeciwko siebie, jakgdyby to było spotkanie przypadkowe. Dwa drewniane parangi podnoszą się jednocześnie w górę; z jednakowym wyrazem dzikości i okrucieństwa w twarzach dwaj młodzieńcy stają do walki. Jestto prawdziwy taniec wojenny, tłumaczy on wybornie podstępny, których używają dajakowie dla zaskoczenia zbyt ufającego swoim siłom nieprzyjaciela. Chwilami padają na kolana, twarz przy twarzy, broń przy broni. Jedno oka mgnienie, a ślizgają się znowu rytmicznie, z lekkością tygrysów.

Naraz trąby i bębny zaczynają grzmieć, jeden z tancerzy udaje, że się potknął i pada na podłogę; z przeciwnej strony, szybki jak błyskawica, wyskoczył jego partner. Udaje, że mu odcina głowę jednym płańnięciem drewnianej szabli, przyczem twarz jego wyraża radość z zdobycia tak kosztownego trofeum. Wreszcie kręci się w kółko na matach, podczas gdy orkiestra, grając coraz głośniejsze, nie jest w stanie zagłuszyć wrzasków rozszalałego tłumu“.



HENRYK RZEWUSKI.

Zamek krakowski.

Romans historyczny z wieku XVI.

I.

Komu tylko zdarzyło się jechać z Daszowa do Liniec, lub z Liniec do Daszowa, temu musi być pamiętna wieś nazwana Kalnik, położona na połowie drogi, gdyż nie było przykładu, żeby pojazd lub wóz wjechałszy do tej wsi, nie zatrzymał się przed karczmą, na jej środku stojącą. Jest to wieś obszerna; chałupy w niej odznaczają się czystością

i dobrą budową, ledwo że nie koło każdej z nich jest sad, a gdzie niegdzie nawet pasieka. Kalnik słynie wesołością swoich parobków, pięknocią swoich dziewczek, zalotnością swoich młodych. To pewna, że Kalnik leży wśród okolicy, której płodność ledwo że nie wyrównywa tej szczęśliwej ziemi, którą Nil corocznie stłuszcza, że trzoda wiejska wypasiona na rżyskach kalnickich jest nierównie liczniejsza, niżeli w wsiach sąsiednich, i że między siołami ukraińskimi odznacza się jakąś wyższością, która ujść nie może uwagi wędrowca.

Wszakże Kalnik dziś już nie jest tem, czem był przed laty, i jak każdy stary, wiele widział i dużo doświadczył. Na końcu XVI wieku był miastem bardzo handlowem; w łonie swoim mieścił kilka narodów i wyznań. Był monaster czernic, kilka cerkwi, zbór arjanów, kirka ewangelicka, dwie bóżnice: jedna żydowska, druga karaimska; nawet kościółek ormiański. Prawie wszystkie te budowy były ceglane, pobielane i wcale przyzwoicie utrzymywane. Jeden tylko kościół wiary panującej, poziołeniałymi gontami, odarty z tynku, z poza przeczystego częstokołu wyglądał: nieborak zdawał się wstydić swego ubóstwa, na widok tych przybyszów, jakby natrzęsających się z pokory gospodarza. Był to jeden z najmniej jeszcze złych skutków indygenatu, nadanego w Polsce nowinkom wittenbergskim, genewskim i zuchwalszym jeszcze wymysłom nowochrześciców, arjanów, które niebaczną młodzież, wychowaniem zagranicznym zarażoną, przywiozła do Rzeczypospolitej, rozprzestrzeniała pomiędzy ludźmi łaknącymi za modą, a tem potraçała prawa kardynalne narodu pod rządem nadto łagodnych Jagiellończyków.

Kalnik w czasie wojen Jana Kazimierza dwa razy zrabowany: raz przez szwedów, potem wkrótce przez Rakoczego, nakoniec do szczętu zniszczony został przez tatarów krymskich, zjednoczonych z ukraińskiem chłopstwem zbuntowanym. Ujrzał swoje gmachy w popiół zamienione, i prawie wszystkich swoich mieszkańców zabranych w jasyr. Od tej klęski już nigdy nie powstał. Na gruzach kwitnącego miasta osiedliła się wieś z przychodniów województwa czernichowskiego.

Zdarza się, że jaki wieśniak, ryjąc ziemię dla lochu warzywnego, lub dla wbicia słupów na stodołę, wykopuje jakieś naczynia starożytne, bądź mosiężne, bądź miedziane, których użytku nie rozumie; jakieś stare srebrne pieniądze, nawet biało-głowskie ozdoby szczerozłote, co wszystko u arendarza wiejskiego przemienia się na trochę gorzałki.

Kalnik przechodził bądź spadkiem, bądź kupnem z rąk do rąk; należał do Koniecpolskich, Dolskich, Wiśniowieckich, Platerów, Potockich, a w w. XVI hrabstwo Kalnickie było własnością potężnego domu Zborowskich. Ówczesny jego pan był Marcin, kasztelan krakowski, głowa dysydyntów wyznania augsburgskiego, starzec dumny, chciwy władzy i bo-

gactw dla swojego rodu, i dla tej żądzy zawsze gotów wszystko poświęcić. Po wyjściu z lat dziecięcych oddany przez swojego ojca do akademii krakowskiej, oddał się najwyuzdańszej rozpuszczeniu i zuchwalstwu bez granic, a potem został jednym z głównych naczelników tych uczniów, którzy opuścili ojczysty zakład nauk. Młody Marcin dostał się do Wittenbergu i tam poddał z zapalem młodociany umysł pod naukę Lutera i Melanctona. Gdy powrócił do Polski dla objęcia spadku po zmarłym dopiero ojcu, wkrótce stał się w koronie naczelnikiem wyznawców augsburskich, jak Górka helweckich, i z tym ostatnim, zwiąawszy się małżeństwem z jego siostrą, tak groźnym pokazał się swojemu królowi, że ten, dla zaskarżenia sobie jego przyjaźni, obsypał go urzędami i starostwami, aż nakoniec usadowił w najwyższym senatorskim krześle. Starzec pyszny z rodu, urzędów i sławy rycerskiej, a więcej jeszcze z licznego potomstwa, bo miał ośmiu synów, po większej części już zaszczyconych wysokimi urzędami, i tyleż córek, usadowionych zamężciem w najwyższych domach polskich — mając siły starogane w długim zawodzie, w usługach królów i Rzeczypospolitej, już się nie oddalał od swojego zborowskiego zamku. Tam najznakomitsi dysydenci nie przestawali go nawiedzać, a on im swoich rad udzielał.

Gubernator kalnickiego zamku i hrabstwa nazywał się Zdora; był to syn starożytnego choć uboższego szlachcica z ziemi trembowelskiej, który umarł w usługach dworu Zborowskich. Syn jego służył za chłopca u pana Marcina, kiedy ten jeszcze chodził do akademii krakowskiej, i towarzyszył panu swojemu w jego podróży do Wittenbergu. Niostępnym sługą, bez wahania przejął się jego zasadami religijnymi, bądź jako prawdziwy klient, oddający siebie z duszą i ciałem swojemu patronowi, bądź z rzeczywistego pociągu.

Koniec końców po powrocie pana Marcina pan Zdora wiele mu był pomocnym w rozkrzewianiu wiary pomiędzy szlachtą niemieckiego wyznania i w prześladowaniu katolickiego duchowieństwa, żyjącego na jego ziemi. Pan Marcin ożenił go z jedną z swoich nałożnic, a po śmierci gubernatora kalnickiego jemu powierzył rządy hrabstwa z nieograniczoną władzą nad poddanymi.

Pan Zdora najskrupulatniej przeniósł do służebnictwa swojego zasady, czerpane z teologii wittenbergskiej. Pod nieba wnosił swego pana; dwa razy na miesiąc posyłał do Zborowa kozaka z raportem, przy którym nie omieszkiwał dołączać list, napełniony panegiriami dla najwyższego i najmędrszego senatora całej Rzeczypospolitej. Na rocznicę jego urodzin sam przyjeżdżał do Zborowa, przy winszowaniu uroczystości padał mu do nóg jak długi — rzecz wtedy niesłychana w służebnictwie szlacheckim. Pan krakowski to wszystko brał za gotowe pieniądze i wywzajemniał się jemu nieograniczoną

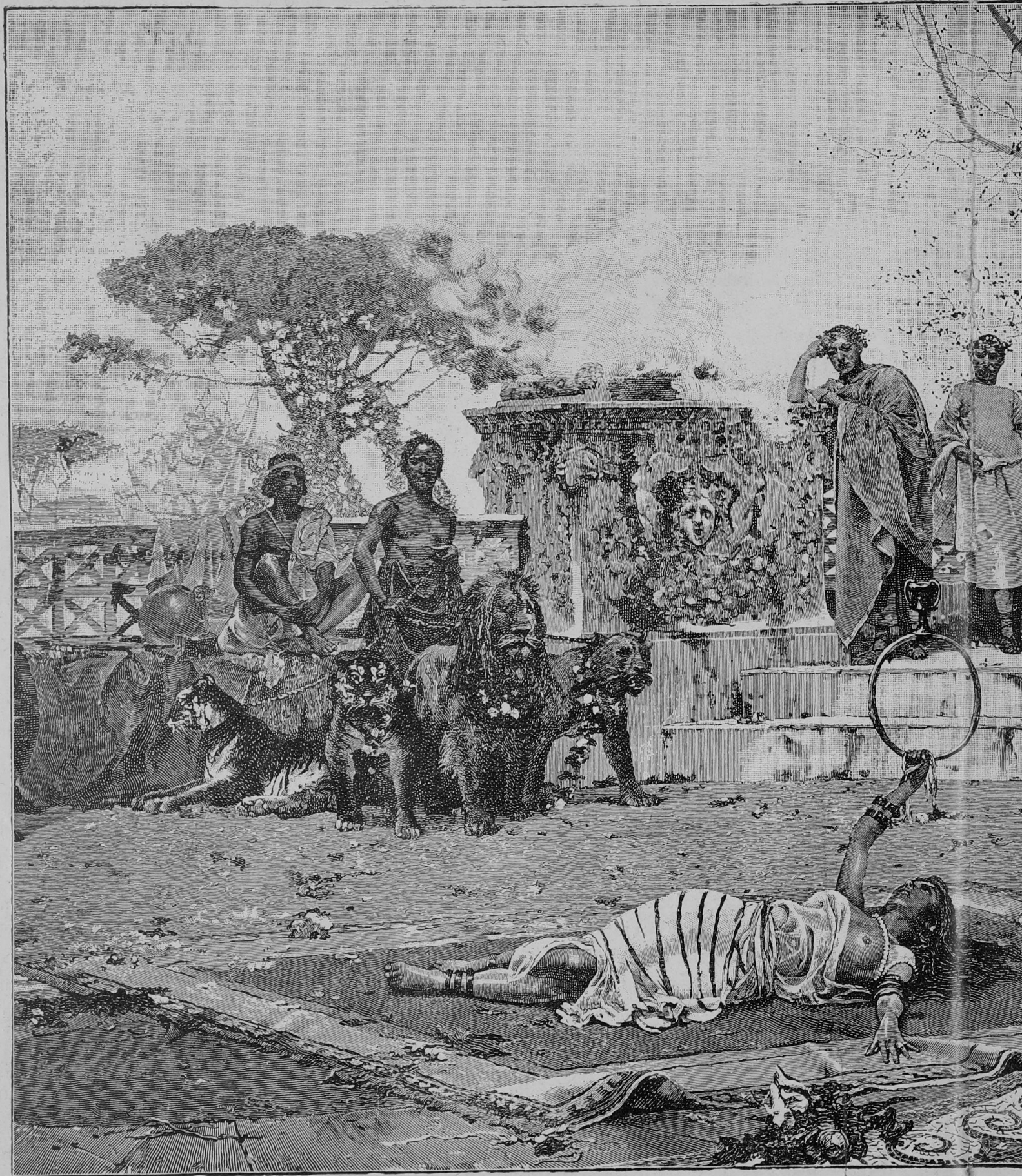
ufnością; pan Zdora zaś, służąc panu, o sobie nie zapominał.

I nieraz z połowicą swoją suszył sobie głowę nad tem: jakby to po najdłuższym życiu pana krakowskiego jakoś skończyć z jego spadkobiercą i wynieść się z pieniędzmi w jakąś stronę oddaloną bo dość był przejął z wychowania zagranicznego, żeby być przekonany, iż kto ma pieniądze, temu wszędzie dobrze.

Zaprzeczyć nie można, że pan Zdora z wielką zręcznością wzbogacał siebie, zachowując stateczną łaskę swojego pana. Obowiązywał go tem, że mu corocznie więcej dosyłał grosiwa, niż ten, po którym zajął posiadłość. Prawda, że za jego poprzednika chłopstwo żyło w dostatku, zamki kalnickie i kopyczyńskie były w stanie obronnym: iż ledwo mysz przez ostrokoły przedrzeć się mogła. Szlachta służbą wojskową w zamkach opłacała grunty, co je uprawiała z łaski domu Zborowskich; utrzymywano ogromne myśliwstwo oraz szkołę strzelców i jazdy, mogącą być obroną w potrzebie na korzyść Rzeczypospolitej. A za pana Zdory chłopstwo było uciśnione, szlachta zacynszowana, strzelcy w okład pańszczyzny wpisani, zamki wiatrami ogrodzone. Nawet poznawszy, że pan krakowski, jak to zwykle bywa w podeszłym wieku, nabywał coraz więcej przywiązania do gotowych pieniędzy, zdołał w niego wnówić, że zamiast tak wielkich wydatków na utrzymanie zamków, lepiej połowę tych wydatków obrócić na zaspokojenie tatarów i niżowców, a tym sposobem dobra będą bezpieczne, a panu przybędzie brzęczącej monety. I to, co pan i sługa w Polsce wyhodowany, miałby za zgrozę pomyśleć, że godzi się pokój okupywać pieniędzmi, pierwszy senator, sam kiedyś dzielny wojownik, na to zezwolił.

Każdy ma swojego gryzącego mola; miał go i pan Zdora w osobie syna, pana Ezechiela, który mu nieraz stawał kością w gardle, a którego, jako jedynaka, namiętnie miłował. Był to chłopiec niezłego serca i niemałych zdolności, ale miał w sobie rozwiniętą wrodzoną burzliwość polską, nawet w stosunkach swoich z rodzicami, bo tu nie miał tej przeciwwagi, która u innych wzniecaną bywa wychowaniem katolickim. Po innych domach szlacheckich młodzieniec, jakkolwiek zuchwały, drżał na widok swoich rodziców; wszystko, nawet chłostę, bez szemrania z ich rozkazu odbierał i ani pomyśleć się odważył, by ich postanowieniu o sobie w czemkolwiek się sprzeciwić; ale po rodzinach dysydenckich wychowanie na innych zasadach przyjęte, obaliło było tę patriarchalność w stosunkach ojca z synem, pana z sługą.

Pan Marcin Zborowski wkrótce po swoim powrocie do kraju założył był w Zborowie szkołę. Mistrzów dla niej sprowadził z Niemiec, w celu, by ta szkoła dostarczała pastorów i ministrów obywatelom wyznania augsburskiego. Wszakże, pomimo



A. GUINEA



PO DOBREJ UCZCIE.

nakładów i starań, ten zakład jego widokom nie odpowiedział.

I kiedy seminarja i nowicjaty katolickie mnożyły w koronie i Litwie kapłanów i zakonników, pastorów i ministrów trzeba było jak wprzódny sprowadzać z Niemiec.

Pan Ezechiel był oddany do szkoły zborowskiej; kres życzeń jego ojca było go widzieć kiedyś ożenionym i pastorem; ale po kilkuletnim szkolnym zawodzie młodzieniec uciekł z szkół, przenosząc nad wszystkie mądrości teologii, giernkowstwo przy panu Hieronimie Ossolińskim, zięciu pana krakowskiego, ale gorliwym katoliku, który był rad przyczynić się do wyrwania młodego szlachcica z tej szkoły. Pan Ezechiel towarzyszył swojemu nowemu panu w nieszczęśliwej wyprawie połockiej, gdzie swoją dzielnością ściągnął jego uwagę tak dalece, że został jego ręką pasowany na rycerza i otrzymał stopień nadliczbowego towarzysza w jego chorągwi. Kto inny na jego miejscu byłby się wysoko pokierował, ale po skończeniu wojny służba u dworu nie dawała się pogodzić z zuchwalstwem jego przyrodzenia. Będąc dworzaninem, nietylko że ulegać nie chciał sędziwemu marszałkowi dworu pana Ossolińskiego, kasztelanu sandomierskiego, ale tak mu dokuczył krnąbrnością swoją, że został oddalonym. Udał się więc do Zborowa, jako do protektorskiego gniazda, i nie zawiódł się w nadziejach swoich. Pan krakowski łaskawie przyjął syna zachowanego sługi i kazał mu zostać przy dworze swoim, a że bardzo zgrabnie tańcował, został wkrótce niezbędną figurą wszystkich kadryłów w zamku. Ale na nieszczęście zaczął się zalecać do panny krakowskiej, Krystyny, już obiecaney panu Chodkiewiczowi, kasztelanowi wileńskiemu, i to tak widocznie, że się to nie ukryło przed jasnie oświeconym jej ojcem. Ta zuchwałość przechodziła wyobrażenie, jakie miał o wolności ewangelickiej. Wszakże żadnej gwałtowności się nie dopuścił; kazał tylko żeby w dwudziestu czterech godzinach oczyścić zamek zborowski i nigdy doń nie wracał. Rad nie rad pan Ezechiel musiał się udać pod skrzydła rodzicielskie, a pan gubernator, luboć o wszystkim wiedział, od siebie go nie odepchnął. Tak mieszkał od półtora roku, golizną swoją przykuty do ściany rodzinnej. Ojcu, pomimo ustawicznych nalegań, pomagać nie chciał w gospodarstwie, nie znajdował towarzystwa odpowiedniego swojemu sposobowi myślenia, i gdyby miał o czem, niezawodnie opuściłby Kalnik natychmiast, bo w nim się nudził śmiertelnie.

Ojciec miłował go wielce, wszakże nie więcej od swojego dobrze wypchanego worka, do którego udziału przez żaden sposób nie chciał go przypuścić. A matka jeszcze skąpszą była od ojca. Ile razy pan Ezechiel napiera się o siaki taki grosz, pan ojciec zawsze wymawia siebie swoim ubóstwem. „Tu niema nic mojego“, prawił, „to co waś widzisz, jest najprzód Boskie, a potem pańskie. Oprócz za-

sług, co je pobieram, złamanego halerza nie posiadam. Albo to ja okradam mojego pana, jak to robią inni, których się nie wymienia? Poczciwy sługa musi być zawsze gołym. A kto waści winien, żeś chudym derwiszem? Ja za waści Panu Bogu nie odpowiem; niczem nie zaniedbał, żeby waści na człowieka wykierować; dawnobys był pastorem w Zborowie. Pięćset złotych na rok, dworek jak cacko, przy nim ogród i łąka, i akeydensików niemało nie piechotą chodzi: od waszeci zależało w kosmatniejszej skórce chodzić, niż ja. Wojaczka więcej waści przypadła do snaku, niż rozpamiętywanie słowa Bożego. Nie dziwuj się, że cierpisz niedostatek, kiedyś los dobrowolnie odpychał. Tuszyłem, że w mojej starości będę miał z waści podpore, a jak widzę, chcesz mi być ciężarem“.

Jak pan Ezechiel się spostrzegł, że już dziury pokazują się w jego opończy i że one nawet nie umieją przemówić do serca rodzicielskiego, powiedział sobie: „Przecież mam konia, zbroję, koncerz i kopję, więc winienem sam sobie dać radę. Oręż nie tylko bronić, ale w potrzebie i żywić powinien. Ojciec twardy, bo wiem, że ma pieniądze, tylko zmyśla stary sknera; a więc oręż mnie wesprze“.

(c d. n.).



Ziarnka naukowe.

Rozpylacz metali.—Płatowiec czy hydroplan?

Inżynier szwajcarski, Schoop, wynalazł nowy sposób pokrywania metalami przedmiotów wszelkiego rodzaju, który może wywołać niesłychany przewrót w bardzo wielu dziedzinach techniki.

Jest to rozpylacz metali, przypominający nasz zwykły „pulweryzator“, używany do odświeżania powietrza w pokoju za pomocą wody kolońskiej. Niedawno jeszcze stosowano go tylko w specjalnej fabryce „Tow. metalizacji“ w Szwajcarji, obecnie jednak dzięki udoskonaleniu przyrządu będzie mógł być stosowany w każdym nawet małym warsztacie.

W fabrycznym przyrządzie zasada rozpylacza została zastosowana bez żadnej zmiany; jedną rurką napływa roztopiony metal, przez drugą, położoną w stosunku do pierwszej pod kątem prostym, napływa z siłą strumień jakiegoś obojętnego, nieutleniającego się gazu. W ten sposób z rozpylacza wytryska strumień najsubtelniejszego pyłu metalowego, o fizycznym stanie którego trudno powiedzieć, czy to metal roztopiony, czy już gazowy — jego para. Z jednej strony w chwili rozpylania metal ten był płyn-

ny, a więc o ogromnie wysokiej temperaturze, z drugiej można nim opylać rękę bez żadnego bólu i szkody i pokryć ją szczelną warstwą dowolnego metalu.

Udoskonalony rozpylacz metali Schcopa nazywa się „pistoletem strzykawką“. Różni się tem od dawnego, fabrycznego, że do niego nie koniecznie potrzeba wprowadzać metal w stanie roztopionym, płynnym, a można poprostu w formie drutu. Z jednej rurki tego rozpylacza dany metal w formie cienkiego drutu stopniowo wysuwa się automatycznie; do otworu jej podchodzą dwie rurki, przez które napływają dwa gazy – wodór i tlen i stykając się, zaraz się zapalają, skąd powstaje bardzo silny płomień.

Płomień ten natychmiast roztopia koniuszek drutu, wychodzącego z pierwszej rurki, a strumień ściśniętego powietrza rozpyla go natychmiast, jak wyżej.

Wszystko to dzieje się u samego otworu lufy „pistoletu“, który w ten sposób wytwarza nieustający strumień rozpylonego metalu. Przyrządem może wobec tego operować każdy i „metalizować“ dowolny przedmiot. Nie wymagając zaś uprzednio roztopionego metalu, aparat da się zastosować wszędzie.

Jak już wyżej nadmieniliśmy, strumień rozpylonego metalu z aparatu nie parzy. A wobec tego można nim opylać wszelkie przedmioty i pokrywać je szczelną warstwą metalu.

Dawniej, aby pokryć dany przedmiot metalem, trzeba go było koniecznie pograżać w odpowiednią „kąpiel“, bądź to z roztopionego metalu, bądź też w płyn do galwanoplastyki. To znaczy, że pokrywać metalem całe gotowe wielkie przedmioty, np. statek, wagon, postawioną już kratę na moście, było niemożliwym.

Przy obecnym sposobie „opylania“ metalem ta trudność znika. Można np. ocynkować żelazny dach, znajdujący się już na domu, w całości lub częściowo i ile razy będzie potrzeba — można, dajmy na to, pobronzować choćby nawet i całą wieżę Eifla.

„Opylanie“ metalem wprowadzi także przewrót w dziedzinie metalowych wyrobów plastycznych. Dość będzie np. liść paproci lub dębu położyć na powierzchnię metalową, a następnie opylać go, aby otrzymać najdokładniejsze i subtelnometalowe odbicie tego liścia. Albo np. na metalicznej powierzchni wykonać rysunek olejem, a następnie opylać; metal przystanie tam, gdzie nie będzie oleju, a z tłuszczu zejdzie; klisza do druku będzie gotowa prędko i tanio.

Jeszcze donioślejsze będzie miało znaczenie zastosowanie opylania metalami do wyrobów z drzewa. Zamiast lakierem, farbą olejną lub klejową można będzie pokrywać meble np. dowolną warstwą jakiego się zechce metalu, nadając im niesłychaną trwałość. A stosować to będzie można nietylko do wyrobów

grubszych, ale także do najdelikatniejszej, artystycznej rzeźby drzewej.

Słowem, nie sposób wyliczyć dziedzin techniki, w których nowy ten wynalazek znajdzie zastosowanie. Jeżeli w istocie potwierdzą się wiadomości o wynikach dotychczasowych prób, to prawie że ogarnie wszystkie gałęzie pracy ludzkiej.

* * *

Znany francuski lotnik i budowniczy aeroplanów, Jan Bouchot, zastanawia się nad szybkością aparatów powietrznych i przychodzi do wniosku, że dotychczasowe doświadczenia pozwalają przypuszczać, iż w przyszłości nie płatowce lecz hydroplany uzyskają przewagę w lotnictwie.

Na poparcie swego twierdzenia Bouchot przytacza cały szereg wypadków nieszczęść lotniczych, zaznaczając, że zachodzi wielkie prawdopodobieństwo, iż liczba ich znacznieby się zmniejszyła, gdyby nowe aparaty dokonywały prób nad wodą, nie zaś na lądzie. Przedsięwzięte dotychczas w tym kierunku próby w większości przypadków dały wynik pomyślny.

W dalszym ciągu swych wywodów powołuje się Bouchot na rozprawę Leonarda da Vinci, który, jak wiadomo, pierwszy zajmował się sprawą aparatów lotniczych. W odnalezionych przed kilku laty i ogłoszonych drukiem rękopisach Leonarda da Vinci znajdują się wyraźne w tym kierunku wskazówki. W rozdziale drugim jest ustęp następującej treści: „Próbuj swego przyrządu nad morzem lub jeziorem, gdyż w razie upadku narażony będziesz na mniejsze niebezpieczeństwo“. Zasada ta — pisze Bouchot — po wiekach znajduje potwierdzenie swej trafności. Wystarczy przytoczyć kilka faktycznych na jej uzasadnienie wydarzeń. Pamiętnym w dziejach lotnictwa jest wypadek, któremu uległ lotnik Denthaut. Aparat jego wpadł do Sekwany. Wszyscy byli przekonani, że Denthaut zginął, tymczasem wypłynął z Sekwany cały i nieuszkodzony. Okazało się, że aeroplan pod powierzchnią wody jak dzwon dla nurków zostawił pewną przestrzeń powietrzną, w której lotnik mógł oddychać i temu zawdzięczał swe ocalenie. Również płatowiec nie uległ zniszczeniu i poniósł nieznaczne szkody.

Bouchot studjował podczas pobytu w Szwecji specjalnie kwestję hydro-aeroplanów i doszedł do przekonania o ich wyższości nad płatowcami lądowymi. Lotnicy szwedcy, pod wodzą Karola Céderstrema, wszystkich trudniejszych wlotów dokonywują zawsze ponad morzem i liczba wypadków jest też w Szwecji o wiele mniejsza niż w innych krajach. Bouchot kończy artykuł wnioskiem, aby zwłaszcza próby aparatów, wprowadzających nowe pomysły konstrukcyjne, dokonywane były tylko nad morzem.



KRONIKA POLITYCZNA.

Walka wyborcza w Szwecji toczy się obecnie pod hasłem: „Za zbrojeniami i królem, czy przeciw zbrojeniom i królowi“. Chodzi o to, kto weźmie górę: czy stronnictwo chłopsko-konserwatywne, skupiające się koło tronu i będące zwolennikiem potę-



Ks. prałat Józef Kłos.

żnej armji, czy też stronnictwo radykalno-socjalistyczne, przeciwne zbrojeniom wyteżonym. W dalszym rozwoju tej akcji wysuwa się sprawa przysunięcia się do trójprzymierza, co uzależnione jest prawdopodobnie w cichych układach dyplomatycznych między Berlinem, Wiedniem, Rzymem a Sztokholmem od zwiększenia liczebności armji szwedzkiej.

Szwecja jest podzielona na 50 okręgów wyborczych, które razem wybierają 230 posłów według systemu proporcjonalnego. Każdy okrąg wysyła do drugiej izby trzech do siedmiu posłów. Dotychczas w drugiej izbie zasiadało 64 posłów socjalistycznych, 103 radykalistów i 63 konserwatystów.

Ks. Wied rozpoczyna swe rządy w Albanji od zwołania pospolitego ruszenia, na którego czele chce osobiście wyruszyć przeciwko powstańcom greckim w Epirze. Położenie w południowej Albanji jest bardzo poważne, zwłaszcza że mocarstwa opiekuńcze, Austria i Włochy, nie pochwalają mobilizacji i nie myślą udzielić ks. Wiedowi pomocy. W bandach epirotów znajduje się dużo oficerów greckich, również armaty i broń powstańców pochodzą z Grecji. Powstańcy zdobyli już miasto Koricę i grożą zrównaniem jej z ziemią, jeśli zmuszeni będą do opuszczenia tej miejscowości.

Owoc zabiegów rosyjskich w Bukareszcie dojrzeva wcześniej aniżeli przypuszczano. Rumunja znajduje się już w objęciach rosyjskich. Zaczęło się od błędu dyplomacji austro-węgierskiej, która dla pozyskania przyjaźni bułgarskiej naraziła się Rumunji. Austria jedyna z mocarstw wystąpiła z żąda-

niem rewizji traktatu bukareszteńskiego i tego jej Rumunja nigdy nie przebaczy. Prawda: pozyskała Bułgarję — ale na jak długo? Już pierwsze wybory pouczyły gabinet Radosławowa, jakim jest właściwie usposobienie ludności; zarządzono drugie, użyto nadzwyczajnej presji, wydano miliony, a w rezultacie zyskano — 11 głosów większości.

Tymczasem w Rumunji dyplomacja rosyjska i francuska nie zasypiały gruszek w popiele. Kiedy w Wiedniu urzędownie i półurzędownie utrzymywano jeszcze pozory przynależności Rumunji do trójprzymierza, w Bukareszcie wszystko było już do zmiany frontu przysposobione.

Przygotowaniom do spowinowacenia się dworu rumuńskiego z rosyjskim towarzyszyła z dnia na dzień rosnąca antiaustrjacka, a bardziej jeszcze antiwęgierska kampanja prasowa, aż doszło do punktu kulminacyjnego: do wieca ligi kultury rumuńskiej. Na wiecu senatorowie i deputowani, urzędnicy i profesorowie, ba najwyższego stopnia oficerowie, wystąpili już jawnie z propagandą wojenną przeciw wczorajszemu sojusznikowi.

Powszechną zwraca uwagę, że opinja publiczna irlandzka przyjęła bardzo spokojnie opór oranżystów w Belfaście przeciwko zaprowadzeniu samorządu. Poprzednimi laty podczas takich wypadków rozgrywały się zazwyczaj na ulicach Dublina rozruchy i awantury uliczne. Tym razem panował zupełny spokój. Dowodzi to wielkiej dojrzałości politycznej i rozwagi irlandczyków. Są przekonani, że pomimo oporu oranżystów rząd potrafi w izbie gmin załatwić homerule, zanim przyjdzie do rozpisania nowych wyborów. Te wybory przyjdą prawdopodobnie w lipcu do skutku. Tak samo i narodowcy angielscy w Irlandji poza prowincją Ulster życzą sobie samorządu. Zdają sobie sprawę, że tak długo nie przyjdzie w Wielkiej Brytanji do równowagi, jak długo irlandczycy będą w parlamencie centralnym angielskim posiadali wpływ przeważający. Jedynym sposobem pozbycia się wielkiej ilości posłów irlandzkich w parlamencie angielskim jest właśnie zapro-



Wymarsz wojsk angielskich do Ulsteru.

wadzenie homerule'u. Samorząd przyczyni się także do podniesienia ekonomicznego Irlandji, co wyjdzie i irlandczykom i anglikom, zamieszkującym kraj, na dobre. Od czasu unji z Anglją, Irlandja stale ekonomicznie podupada.

Za czasów unji Irlandja miała pięć i pół miliona mieszkańców. Dublin był pierwszym po Londynie miastem, a trzecim lub czwartym w Europie co do liczby mieszkańców. Anglja miała wtedy 9 milj. mieszkańców czyli nawet nie spełna dwa razy tyle, ile Irlandja. Dzisiaj po 112 latach unji ludność Irlandji spadła na 4,300,000 mieszkańców. Natomiast ludność Anglji doszła do 41 milj. mieszkańców. Unja spowodowała na Irlandję wieczną klęskę głodu. Handel irlandzki został zupełnie zniszczony.

Jest więc zrozumiałem, że po tak długich walkach w parlamencie, irlandczycy uzyskawszy obietnicę samorządu, nie chcą dalej mrzeć głodem, lecz pragną dźwignąć się z upadku i nędzy i współzawodniczyć z Anglją w pracy nad dobrobytem kraju.

Obok trudnego położenia wewnętrzno-politycznego, wywołanego sprawą Ulsteru, grozi jeszcze Anglji ciężkie przesilenie gospodarcze. Strajk górniczy w zagłębiu Jorkschiere przybiera bowiem coraz większe rozmiary; przyłączyło się już do niego około 120 tys. robotników. Oprócz tego rozpoczął się strajk robotników zatrudnionych w różnych zakładach elektrycznych. W londyńskim przemyśle budowlanym liczba robotników strajkujących powiększyła się w ciągu jednego dnia o 5,000, a dalszych 30 tys. robotników gotowych jest do porzucenia pracy. Na domiar złego poczynają się znowu ruszać i robotnicy jakoteż urzędnicy linii kolejowej towarzystwa Great Castern, którzy mogą wywołać ogólny strajk kolejowy.

Wybory uzupełniające do parlamentu w W. Ks. Poznańskim w silnie przez Niemców zagrożonym okręgu szamotulsko obornicko skwierzyńskim zakończyły się świetnym zwycięstwem polskiego kandydata, ks. prałata Józefa Kłosa, redaktora

„Przewodnika katolickiego“ w Poznaniu. Tym sposobem zajmują obecnie posłowie polscy w parlamencie niemieckim 18 krzeseł.

Lech.

ZALOTNIK MARCOWY.

(Z RODZINNEGO PODANIA).

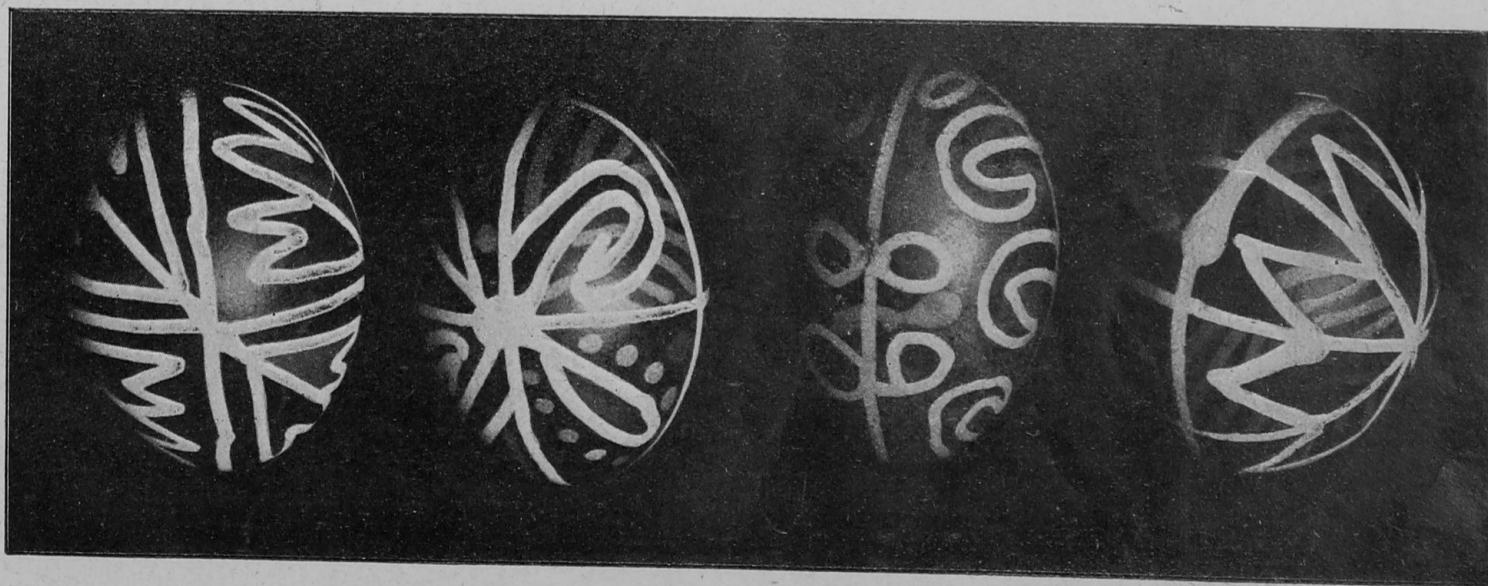
(dok.).

IV.

W dworze pana Michała już przez całą zimę trwały przygotowania. Święty Jan był oznaczony na dzień ślubu: mało doma zagrzałi i rozmistrz i Jaksa, bo jeździli za sprawunkami. Melchior sam teraz doglądał gospodarki, gdy brat jego stracił głowę i zajmował się wyłącznie przygotowaniem do ślubu. Im więcej przecież zbliżał się do celu życzeń swoich, więcej rozmyślał, przypominał sobie, że już w lata zaszedł, do wielu rzeczy się wdroy, od czego trudno odwyknąć, a panna Ewelina nie znosi: naprzykład nie pozwala mu, jak dwa razy zażyć tabaki przez dobę. On nawykł jeździć brocką bryką bez resorów, panna mu przypominała karetę i pojazdy nowe. Zaczęła przebąkiwać, że rezydentów nie ścierpi, trzeba więc będzie pożegnać rotmistrza i Jakse, przyjaciół prawdziwych, z których każdy życie by zań oddał; krzywiła się na Melchiora i doradzała, aby mu gdzie uboczną wieś puścił. Pani zaś cześnikowa chce mieszkać przy córce, razem z starą ciotką, z starą pokojówką, papugą, szpicami i mopsem. To wszystko niepokoiło pana Michała w śnie nieraz, wspomnienia takie dreszczu go nabawiały; tak straszne widzenia uspakajał modlitwą i usypiał spokojniej, zdając się na Opatrzność. Melchior milczał, pracował szczerze, zastępując wszystkich, dostrzegł zmiany brata, i rzekł raz pod wieczór, gdy sami byli:

— Miły panie bracie! coś wam wadzi, osowiały, zasepiony codzien więcej, czyś niezdrów?

— Zdrowia mi braknie, miły Melchioru i trosk więcej przy starszych latach.



Pisanki wołyńskie.

— Kto się ożeni, to się odmieni! tak mówią, ale wasze jeszcze się nie ożenił, a już odmienił.

— Nie wiem jak to rozumieć, ale im bliżej mi do ołtarza, tem więcej rośnie w sercu obawy. Wszystko odmienić się tu musi, a mnie tak miło i dobrze, jako jest teraz.

— Miarkuję, co chcesz wasze wyrzec; musimy się rozdzielić, prawda, że jak dla mnie, to bardzo przykro — mówił wzruszony Melchior — od czasu, jako na drewnianych hasalim konikach, zawsze razem, wyjąwszy, gdy raz trzeba było tym psom tatarom ogonić się i opędzić od zagonów i kopców swoich, drugi raz, gdy wasze niemocą złożony leżał w Wieliczce; a teraz...

Nie mógł skończyć i łzy mu spłynęły po li-
cach. Zapłakał rzewnie pan Michał, rzucił się w ob-
jęcia brata, i długo płaczu utulić nie mógł.

V.

Nadszedł dzień ślubu.

Z smutnym obliczem zajechał Melchior przed
dwór cześnikowej, oznajmiając prędkie przybycie
pana Michała. Panna Ewelina zapytała go dumnie,
czy karetą będzie do ślubu. Melchior duże zrobił
oczy, oświadczając, że pan brat o tem dotąd nie
pomyślał.

— Jakto? — krzyknęła z gniewem pani cze-
śnikowa — a o ślubie pomyślał?

— Nic nie wiem, mościwa pani, ale owoż i sam
przybył, najlepiej to wyjaśnić potrafi.

Jakoż w brockiej bryce zajechał pan Michał
z równianką kwiatów przy boku, towarzyszył mu
konno rotmistrz na dzielnym turczynie. Ledwie
próg przestąpił, zamiast przywitania, matka i córka
jednocześnie wykrzyknęły:

— Cóż to, brocką bryką do ślubu?

Pan Michał, dotąd potulny baranek, podniósł
dumnie głowę i rzekł poważnie:

— Widzę, iż nie moja osoba, ale dostatek ma
tu znaczenie i powagę, a wzięwszy to smutne prze-
konanie, nie pozostaje nic więcej, jak zostać powol-
nym sługą i dobrym jeno sąsiadem mnie wielce mi-
łościwym damom.

Oślupiał Melchior na te słowa brata — i tem
więcej zdziwion, gdy ten z ukłonem wyszedł na ga-
nek, kazał zajechać bryce brockiej, wsiadł w nią
i odjechał.

Rotmistrz został na podwórzu.

Zbladła cześnikowa, zecerwieniła panna Ewe-
lina, Melchior w milczeniu pokręcił wąsy; zgroma-
dzeni licznie goście z podziwieniem oczekiwali koń-
ca. Wtem wszedł pacholek pana Michała i wręczył
list Melchiorowi. Przeczytał go, uśmiechnął się ra-
dośnie i wlepił oczy na podwórze.

Niedługo zagrzmiał dziedziniec, cztery kasz-
tanki przepysznie strojne z karetą, jakiej w okolicy
nie widziano, stanęło przed gankiem.

— Czyjeż to, czyjeż? — zapytali wszyscy.

Melchior skłonił głowę, i rzekł:

— Karetą i konie przeznaczone do ślubu by-
ły, chciał tem swoją ucieszyć narzeczoną; ale na ra-
zie rzecz zostawił, i jam nie nie wiedział o karecie:
zawiozą one raz pierwszy i ostatni jego brata, co
go kocha sercem, chociaż zawsze w brockiej bryce
jeździ.

Wyszedł, wsiadł do karety, i zniknął.

Pan Michał z radością w miejsce żony uści-
snął brata, rotmistrza i Jakę. Spóźnił się dnia te-
go obiad o parę godzin, ale jak zwykle jedli go ra-
zem; poczem Melchior grał z rotmistrzem partję
szachów, a brat z Jaksą w tryszaka.

— Patrzcie! — mówił uweselony Michał — zo-
stanie wszystko, jak było, nic się nie odmieni, bę-
dziemy razem do grobowej deski!

— Dzięki Bogu! — odrzekł Melchior — aleć
ja prawdę mówiłem, że u białychgłów długie włosy,
ale rozum krótki. Miłoc mi, że mój pan brat w
pierwszym zawodzie nie uległ niewieście, bo za pra-
wdę dobrze mawiano i dawniej: Z koniem nie igraj,
niewieście nie ulegaj, pieniądze sam chowaj, chceszli
być bez szkody! A potem, czyż nam tak źle, tyle
lat przeżyliśmy społem w zgodzie i jedności, niechby
tu niewiasta zasiadła, nigdybyś jej pan brat niedo-
godził, jak w onej starej przypowieści: Dwa razy
żona męża biła, raz, że ogórki łupił, drugi raz, że
jabłek nie łupił!

K. W. W.

KRÓL SZALONY.

Dla zadosyćczynienia formalności parlament ba-
warski przed zgodzeniem się na to, aby księżę rejent
Ludwik przyjął tytuł królewski, wydelegował do mie-
szkającego w zamku Fuerstenried obłąkanego od ro-
ku 1872 króla Ottona dwu posłów: Ghiezla i dr.
Casselmanna, aby stwierdzili niepoczytalność ma-
narchy.

Delegatów wprowadził do króla ochmistrz dworu,
bar. Stengel. Weszli do wspaniałej sali przyjęć,
której ściany jednak, jak zresztą i wszystkich innych
komnat zamkowych, wysłane są miękkimi podusz-
kami. W najciemniejszym kącie sali stał przy ścia-
nie słusznego wzrostu mężczyzna z długą, na piersi
spadającą brodą. Był to król Otton. Na wchodzą-
cych nie zwrócił uwagi. Małymi drobnymi krokami
poruszał się nieustannie naprzód i wstecz, zawsze
na tem samym miejscu. Wykonywał przytem rękami
ruchy, zakreślając w powietrzu koła, przykładając
co pewien czas ręce do głowy. Wydawał nad-
to nieartykułowane dźwięki i nasłuchiwał ciągle uro-
jonych szmerów.

— Najjaśniejszy panie! — rzekł bar. Stengel —
mam zaszczyt przedstawić waszej królewskiej mo-
ści posłów sejmu bawarskiego: Ghiezla i dr. Cas-
selmanna.

Król nie spojrzął wcale na posłów i nie reago-
wał zupełnie na przemówienie barona Stengla. Cią-
gle chodził tam i napowrót po trzy kroki naprzód
i wstecz, powtarzając automatycznie te same gesty.

Dwa razy jeszcze próbował baron Stengel uświadomić królowi bytność posłów. Nadaremnie. Tylko urywane, gwałtownie wymawiane wyrazy były odpowiedzią. Gdy się w nie wsłuchać, rozróżnia się wreszcie dwa ciągle powtarzane dźwięki: „Lu“ i „Pra“.

„Lu“ — objaśnia baron Stengel — oznacza nieszczęśliwego króla Ludwika II go, brata króla Ottona, „Pra“, dawno zmarłego adjutanta, generała Franckha. Obok barona Stengla są to jedyne osobistości, które jeszcze dochodzą do świadomości chorego. Od dziesięciu już lat nie dostrzegli lekarze ani jednego odbłyску przytomności u obłąkanego króla.

Przez dłuższy czas pozostali posłowie w sali przyjąć, ale nie zmieniał się pełen grozy obraz, roztaczający się przed ich oczyma. Przez całe godziny, nawet przez całe dni, chory, według zeznań otoczenia, porusza się jak gdyby automatycznie na tem samym miejscu. Postać jego słusna i barczysta dziś już nieco się pochyliła; posiwiały bujne włosy na głowie i długiej brodzie; wzrok zamglony, zapatrzoony w dal, na pierwszy rzut oka zdradza obłąkanie.

Król Otton bardzo nieregularnie przyjmuje pokarmy. W przyległym pokoju stoi stół przykryty obrusem przymocowanym żelaznymi klamrami. Mimo to jednak nieraz się zdarza, że chory, do dziś dnia posiadający niezwykłą siłę fizyczną, wrywa obrus i zrzuca go na ziemię wraz z całą zastawą. Podczas pobytu posłów w zamku Fuerstenried król wymknął się na chwilę do pokoju stołowego. Szybkim ruchem rzucił tacę z naczyniami do sali przyjąć, później podnosił z ziemi przedmioty i rzucał je powrotnie. Posłowie obejrżeli jeszcze inne komnaty zamku i apartament kąpielowy. Lekarz przyboczny króla opowiadał, że nieraz pięciu ludzi musi trzymać chorego w kąpeli, koniecznej, ponieważ sam się nie myje, aby się z niej nie wyrwał.

W stanie takim — jak zapewniają lekarze — obłąkany monarcha może przeżyć jeszcze całe lata.

Z blizka i daleka.

Telefony. Według ścisłych danych statystycznych liczba aparatów telefonicznych wynosi na początek r. 1914 w Europie, Azji i Ameryce około 13 i pół miliona. W Ameryce powstaje dziennie 2,000 nowych związków telefonicznych, w Europie zaledwie 555. To też nowa ziemia przewyższa znacznie dwie stare części świata, gdyż ma więcej niż dwa razy tyle telefonów, ile posiadają ich Europa i Azja razem wzięte.

Wśród krajów europejskich najwięcej w stosunku do ludności liczy aparatów Danja, bo jeden telefon przypada tam na 24 osoby. Francja stoi na miejscu dziesiątem, z jednym aparatem na 150 osób, a na samym końcu Rosja z 2500 mieszkańcami na jeden telefon.

Najlepsze i najrozleglejsze telefony posiada z dziesięciu miast całego świata dziewięć Ameryka, dziesiątem jest Sztokholm w Szwecji.

Statystyka telefonów w Polsce nie zbyt pocholebnie świadczy o rozwoju naszej kultury i stosunków przemysłowo handlowych.

30 lat więzienia za pocałunek. W Los Angeles (Kalifornia) wyższy trybunał wydał niezmiernie surowy wyrok na młodego murzyna nazwiskiem Gnytow. Czarny młodzieniec oskarżony był o to, że białą dziewczynę objął w pól i pocałował. Sąd za tę „zbrodnię“ skazał go na 30 lat więzienia.

Dama w żałobie. Spowita w grubą żałobę sędziwa dama, oparta na ramieniu towarzyszki, spaceruje po Elizejskich polach. Ubogo, lecz schludnie ubrany starzec, któremu głód z oczu wyziera, sunie za nią krokiem ciężkim, a choć ust nie otwiera, o jałmużnę nie prosi, dama w żałobie wyjmując portmonetkę i wsuwa mu w dłoń — srebrną monetę.

Z po za drzew wyłania się policjant.

— Od dawna mam już was na oku — mówi, kładąc mu rękę na ramieniu. Aresztuję pana za zbraninę.

Dama odwraca się do policjanta.

— Pan się myli — powiada — my mamy z sobą dawne rachunki.

Z temi słowami wyjmując stufrankówkę i wsuwa ją w dłoń starca.

— Teraz już sprawa załatwiona — mówi do niego z uśmiechem przyjaznym.

Starzec, osłupiały z wzruszenia, stoi, jakby przykuty do miejsca.

Policjant, ruszając ramionami, odchodzi.

Cesarzowa Eugenia, wsparta na ramieniu swej towarzyszki, idzie dalej.



NEKROLOGJA.

Ś. p. Józef Chełmoński, jeden z najwybitniejszych malarzy polskich zmarł dnia 5 b. m. w posiadłości swej Kulówce pod Grodziskiem. Pamięci wielkiego artysty, który rozślawił imię polskie po całym świecie, osobne wspomnienie poświęcimy w numerze następnym. Na razie łączymy się z powszechnym hołdem społeczeństwa u grobu równego Matejce twórcy.

Ś. p. Paweł Chrzanowski. W Warszawie po długiej chorobie zmarł ś. p. jen. P. Chrzanowski w wieku lat 68, założyciel i właściciel znanego gimnazjum polskiego jego imienia.

Syn byłego majora byłych wojsk polskich, Pawła i Michaliny z Rybickich, właściciela dóbr Dzierżazna w powiecie zgierskim, śp. Paweł Chrzanowski jako chłopiec dziesięcioletni wyjechał był do Petersburga, gdzie ukończył pawłowski korpus kadetów i wojskową akademię prawną, która też popchnęła go na drogę sądownictwa wojskowego.

Przed wojną japońską w roku 1902 wszedł do emerytury i zamieszkał na stałe w Warszawie. Tutaj stosunkami swymi i wpływami wyjednał w r. 1904 pozwolenie na założenie pierwszej szkoły średniej polskiej bez praw, na której wzorowały się potem inne szkoły, założone już na zasadzie pozwoleń władz szkolnych. W szkołę swoją włożył śp. Paweł Chrzanowski dziesięć lat gorliwej i nieustannej pracy i zabiegów, jednając jej dobre imię i opinię zakładu doskonalącego się stale w kierunku pedagogiczno wychowawczym, wraz z szacunkiem i uznaniem dla siebie, nauczycieli i uczniów.

Paweł Heyse. Z Monachjum nadeszła wiadomość o skonie znanego autora szeregu powieści, nowel, poezji i utworów scenicznych, Pawła Heysego. Urodził się on w dniu 15 marca r. 1830 w Berlinie, zmarł w 85 roku życia w stolicy Bawarii, gdzie stale od r. 1854 zamieszkiwał. Jednym z pierwszych jego utworów była tragedia „Francesca de Rimini“, wszakże sławę literacką zdobył sobie nowelami i powieściami, pomiędzy którymi najpopularniejszymi były „Villa Falconieri“ i „L'Arra-

biata". Mniejszym powodzeniem cieszyły się jego utwory sceniczne. Wysoką wartość literacką posiadają także jego przekłady poetów hiszpańskich i włoskich. Heyse otrzymał w roku 1910 nagrodę Nobla.

Z piśmiennictwa.

Topór. Pryncypał i jego rola w przedsiębiorstwie. Warszawa 1914. Nakł. A. Grankego.

Autor zestawiał pożyteczne wskazówki podług XXX wydania głośniejszej książki autora angielskiego, O. S. Mardena. Cena 50 kop.

Ordon. Jakim powinien być sprzedawca. Warszawa 1913. Nakł. A. Grankego.

Broszurka zawiera umiejętnie zebrane wskazówki dla kupców i ich pomocników. Cena 30 kop.

Edmund Łukasiewicz. Reklama. Warszawa 1913. Nakł. A. Grankego.

Broszura podaje rozmaite sposoby ogłoszeń i wykazuje ich skuteczność. Cena 75 kop.

Marja Drobnińska. Co rodzice własnym dzieciom dać mogą i powinni. Warszawa 1914. Nakładem księgarni W. Jakowickiego.

Broszura omawia w poważny i zajmujący sposób stosunek rodziców i dzieci, sprawę ich wychowania oraz znaczenie narodowości i religijności w życiu młodego pokolenia. Wobec dzisiejszych zadań społeczeństwa polskiego, znajomością przedmiotu i szczerem uczuciem dyktowane słowa autorki zasługują na najszerze uwzględnienie ich przez ojców i matki polskie.

Plato Reussner. Najnowszy Elementarz Polski. Wydanie 21. Warszawa 1913. Nakładem autora.

W obecnym ruchu oświatowym, dążącym do szerzenia znajomości czytania i pisania w najdalszych kołach ludności polskiej, pożądanym jest odpowiedni, tani i trwały elementarz. Jako taki polecić możemy „Elementarz“ Platona Reussnera. o którego praktyczności i dobroci świadczy wyczerpanie dwudziestu nakładów. Najobszerniejsze jego wydanie z obrazkami (634 figur), z wzorkami pisma (36 str.) i rysunków (363) zawiera wszystko to, do czego dziecięcy umysł bez trudu przystąpić może, co go z łatwością nauczy czytania i pisania i co w dalszej swej treści zajmie i wykształci.

Plato Reussner, jako wytrawny, długoletni pedagog zebrał tutaj bogate swe doświadczenia i zestawiał je w przystępnej i łatwej formie dla umysłów młodocianych. Z tego też powodu elementarz zasługuje na szczerze polecenie. Cena oprawionego egzemplarza 30 kop., broszurowanego 20 kop., w mniejszym wydaniu 6 i 2 kop.

SZARADA.

Podał: Edward Szwarz.

Chłopcze! gdzie jest twoja *pierwsza-pierwsza*?
A idzie tam moja *pierwsza-czwarta-trzecia* i jej *druga-pierwsza*. Czy niema u was *trzeci-go-drugiego*,
lub *pierwszego drugiego*? Niema; jest *druga-piąta*,
znajdzie się i *druga-trzecia*. A może jest u was *cała*?
potrzebna mi, bo będzie w nią opakowana *piąta-pierwsza*
i *pierwsza-trzecia-czwarta-piąta*.

Znaczenie zagadek zamieszczonych w nr. 12 „Ziarna”

1) R Z E K A—2) J A J K O.

nadestali: Lolek Skwierczyński, Basia Rusiniak z Warszawy; J. Nieprzecka z Wierchowki, E. Sawicki z Sochaczewa, A. i W. Kowalscy z Kalisza, C. Nowak z Olkusza, B. i M. Podhoreccy z Berezna, C. Binienda i J. Gasińska z Nałęczowa, A. Oleksiak z Mińska, J. Jarmoszewicz z Tulicz, J. Czajkowska z Pikowa, Alicja Oleksiak z Mińska, D. Makarczyńska z Kalisza, B. Konopacki z Lublina, K. Kosowska z Odessa, J. Makarczyńska z Kalisza, J. Laskowska z Kielc, L. Chłudzińska z Siennicy Róż.

PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO” wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi: w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3.00, kwartalnie rb. 1.50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3.50; kwartalnie rb. 1.75. zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8½, kwart. k. 5 albo m. 4.25 albo 1 dolar.

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna” w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Kierownik literacki: dr. fil. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.

żanej, E. Klimek z Barłóg, J. Zdanowicz z Połonnego, Br. Nowosielska z Seranowa.

Z losowania wypadły nagrody w książkach dla: Basi Rusiniakówny z Warszawy, dla Andzi i Władzia Kowalskich z Kalisza oraz dla Loli Chłudzińskiej z Siennicy Róż.

Królowie polscy,

Obraz rysunku J. Matejki, kolorowany przez M. Gerson-Dąbrowską, wykonany litograficznie w 18 kolorach, wyśzedł w nowym nakładzie księgarni Jana Fiszera. Portety 40 królów polskich ułożone są na tle godeł narodowych i herbów Polski, Litwy i Rusi. Rozmiary dużego kartonu 74×100 cm. Piękna i barwna litografia oraz przedewszystkiem wzniosły temat i praca najslawniejszego malarza polskiego zalecają wspinał się to wydawnictwo. Obraz, stanowiący prawdziwą i cenną pamiątkę narodową, winien znajdować się w każdym domu polskim.

Dzięki pomyślnemu układowi z firmą księgarską Jana Fiszera możemy Czytelnikom „Ziarna” ustąpić obraz ten po cenach niższych i to na grubym papierze kartonowym po 2 rb. (zamiast 3 rb.); a podklejony płótnem na wałkach po 3,50 rb. (zamiast 5 rb.). Koszty przesyłki pierwszego obrazu wynoszą 50 kop., drugiego 85 kopiejek.

Zamówienia i przekazy adresować należy do Administracji „Ziarna” z nadmienieniem, że wysłaną sumą (2,50 rb. lub 4,35) przeznaczoną jest na dostarczenie obrazu „Krółów Polskich”.

Zachęcamy raz jeszcze naszych Czytelników do skorzystania z rzadkiej sposobności nabycia dla domu swego pięknej i patriotycznej ozdoby.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WP. J. Fut w Niem. Ryciny do „Świątyni sławy narodowej” znajdują się w druku i będą wysłane zaraz po wykończeniu i to trzy pierwsze obrazy w jednej posyłce.

WP. Chłudz w Sienn. Róż. Okładkę do „Świątyni sławy narodowej” wysłamy po jej ukończeniu. Prosimy o wystanie na ten cel kop. 40.

WP. St. Kurcz. w Pobiedn. Prosimy powiadomić nas raz jeszcze na karcie, czy WPan dotąd nr. 11 wraz z książką nie otrzymał.

WPani Z. Żukow. w Kij Potwierdzamy odbiór rb. 1,75.

WPani Tomsz. w Miszelm. Do nr. 11-go dołączona była książka dla wszystkich prenumeratorów. Wysłamy ją ponownie, choć nie z naszej winy WPan jej nie otrzymała.

WP. Jakub. w Machn. „Ziarno” wysyłamy regularnie w piątek lub najpóźniej w sobotę.

TREŚĆ N-ru 15.

Alleluja!—O! zmartwychwstanie... wiersz M. Konopnickiej.— Ścinacze głów. — Henryk Rzewuski: Zamek krakowski, romans hist. z w. XVI. — Ziarnka naukowo. — Kronika polityczna. — Żalotnik marcowy (dok.). — Król szalony. — Z bliska i daleka. — Nekrologja — Z piśmiennictwa -- Szarada i rozwiązanie. — Odpowiedzi Redakcji.

Ilustracje. Chrystus na majestacie, rys. J. Matejki. — Dajakowie w ubiorach wojennych. — Tragarz dajacki. — Napad na osadę dajacką. — A. Guinea: Po dobrej uczcie. — Ks. poseł J. Kłos. — Wymarsz wojsk angielskich do Ulsteru. — Pisanki wołyńskie.